

ŻUAWI.

ZDARZENIE Z NAJNOWSZYCH CZASÓW

DRAMAT W II. AKTACH

NAPISAŁ

KAROL MIARKA.



KRÓLEWSKA HUTA.

Nakładem i drukiem Karola Miarki.

1869.



C. R. BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

ŻUAWI.

Zdarzenie z najnowszych czasów.

OSOBY:

Pan Dębski, dziedzic.
Bronisława, jego żona.
Stanisław, ich syn.
Ks. Józef, pleban.
Marysia, wdowa.
Antoś, *Franciszka*, } dzieci Marysi.
Joniec, nauczyciel.
Dołęga, łakomy włościanin.
Sługa sądowy.

SCENA I.

Na zamku Dębskiego, dziedzica kilku wiosek.

(Pan Debski, dziedzic i ks. Józef wchodzą do pokoju zamkowego; Bronisława, żona pana Dębskiego siedzi przy oknie haftowaniem zajęta.)

Pan Dębski. Moja Bronko, oto zacny do nas zawitał gość!

Ks. Józef. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Pani Debska. Aż na wieki Amen. Witam serdecznie Jegomościa i dziękuję, że ksiądz Dobrodziej wysłuchał naszą prośbę i niecieżył sobie nas odwiedzić.

Ks. Józef. Wiecie państwo, że chętnie bawię w kółku waszém; a że, ile razy pozwala czas i służba moja, spieszę do was dla odetchnienia z mozołu codziennego; lecz przyznaję się, że ta razą dla natłoku prac mojego urzędu niebyłbym przyjechał, gdyby nie wasze pismo tak nalegające....

Pani Dębska. Niech Pan Bóg nagrodzi Jegomościowi fatygę; wielki nas nawiedził frasunek, prosimy o radę, o pomoc!

Pan Dębski. Ale moja Bronisiu, pozwólże księdzu Dobrodziejowi usiąść i odpocząć. Proszę! (*Przysuwa krzesło i odbiera kapelusz i laskę odnosząc ją na stronę.*)

Ks. Józef. Widzę, dzięki Bogu, żeście zdrowi: a gdzież Stanisław?

Pani Dębska. Właśnie Stanisław jest przyczyną mojego smutku.

Ks. Józef. A czy choruje?

Pani Dębska. Zdrów jak ryba, lecz jakaś mania opanowała go, i chce koniecznie opuścić ojczyznę i rodziców. Wiesz Jegomość, że Stanisław jest jedyną nadzieją naszą. Pan Bóg nam nie użyczył więcéj dziatek, a jak nasz jedynak zginie, cóż po nas na świecie? *płacze.*)

Ks. Józef. Ale proszę was państwo, nierozumię, co za niebezpieczeństwo grozi Stanisławowi?

Pan Dębski. I ja niewiem o żadném niebezpieczeństwie. Zawrzała staropolska krew w żyłach chłopka ośmnastoletniego, i chce iść na wojenkę; a moja żonka myśli, że już zginie. Mój księże Dobrodzieju wyperswaduj jéj niepotrzebne strachy.

Pani Dębska. Niech ksiądz Jegomość wyperswaduje Stanisławowi chęć do wojny, a opuszczą mnie strachy, które we dnie i w nocy moje ściskają serce.

Stanisław. (*Z płomieniacą twarzą wchodzi do izby.*) Ojcze najdroższy! oto list od Jasia, on także wyprawia się do Rzymu! (*spostrzegłszy ks. Józefa kłania się nisko i całuje w rękę.*) Dzięki Bogu, że Jegomość odwiedza nas właśnie teraz, kiedy mi Jego najbardziej potrzeba rady i pomocy. Lecz przedewszystkiem przeczytam wam list Jasia. (*czyta.*)

Najdroższy Przyjacielu!

„Marzenia moje przemieniły się „w rzeczywistość, oto donoszę Ci wesołą nowinę, że moja złota mateczka „zezwoliła na moje prośby i pozwala „mi wstąpić do wojska Ojca św. Długo „walczyła z sobą, lecz dziś rzekła stanowczo: „Mój Jasiu, idź za głosem „serca Twojego, który ci rozkazuje stanąć w obronie wiary i najświętszej „sprawy jéj. Niechaj Pan Bóg cię prowadzi i strzeże, a Matka najświętsza „niechaj ci uprosi szczęśliwego powrotu „do domu rodzinnego!“ — Mój Stasiu! „Jakże ci opisać moje szczęście? — „Oczy więc moje ujrzą święte miasto i „Namiestnika Jezusa, i będę policzony „między grono bohaterskich Żuawów, „którzy piersiami zasłaniają tron Ojca „świętego. Szabla moja, droga spuścizna „po ojcu, uśmiecha się do mnie, a konik

„mój, gdy mu oznajmiłem, dokąd pojedziemy, rżał i rąbał nogami, jak gdyby „mnie rozumiał. Już nic nie pragnę, „tylko jak najprędzej stanąć w Rzymie, „a szabli mojéj doświadczyć na niewiernych szyjach łotrów Garybaldego. „Odwiedź mnie jeszcze bieżącego tygodnia, bo w przyszły Poniedziałek ruszę „w podróż.“ Twój wierny Jaś.

Zuaw Ojca św.

Ks. Józef. Niech Pan Bóg błogosławi szlachetnemu młodzieńcowi i pobożnéj matce jego. Niemożna, żeby nieprzyjaciel zwyciężył, kiedy w sercach młodzieży naszéj tak szlachetny goreje płomień miłości dla wiary świętéj.

(Pani Dębska, która z przerażeniem przysłuchała się czytaniu listu, zakryła dłońmi oczy.)

Pan Dębski. Machabejska matka, jedynego syna ofiaruje!

Pani Dębska. Uboga wdowa, któż będzie jéj podporą? —

Ks. Józef. Ojciec niebieski, bo dla Jego chwały poświęca syna.

Pani Dębska. A jak zginie? —

Ks. Józef. Spotka go największe szczęście w gronie świętych Męczenników.

Stanisław. (upada do nóg matki.) Mateczko najdroższa, czyliż Jaś ma być szczęśliwszym odemnie? —

Pani Dębska. (obróciwszy się do obrazu Najśw. Panny Częstochowskiej, który naprzeciw niéj wisi na ścianie) Najświętsza Matko! Tyś mi go wyprosiła u Syna Twego. Jemu ofiaruję

jedyne dziecię moje. Tobie go oddaję w Twą najświętszą opiekę!

Ks. Józef. | Amen.
Pan Dębski. |

Stanisław. (klęcząc z uniesieniem) Dzięki ci najpokorniejsze matko najdroższa! — nie troszcz się o mnie, u stóp Ojca świętego wyproszę dla ciebie i ojca błogosławieństwo, a jak zniszczemy zdradzieckie sieci nieprzyjaciół wiary naszej świętej, powrócę z tryumfem do was i zostanę dzieckiem najposłuszniejszym aż do śmierci.

Pani Dębska. Daj Boże, abym tej radości dożyła. *(żegna syna)*

(Stanisław uściskawszy kolana ojca powstaje z ziemi).

Pan Dębski. (sięga po miecz na ścianę i podaje go synowi.) Synu mój oto odbieraj miecz mój, świadka nieskazitelnej chwały przodków naszych. Wzywam w tej uroczystej chwili za świadka praojca rodziny naszej, który w sławnej wyprawie pod Wiedniem od króla Sobieskiego otrzymał tę szablę w nagrodę zasług i waleczności. Wzywam za świadka wszystkich potomków jego, którzy dziedziczyli miecz poświęcony w obronie wiary i ojczyzny, syn po ojcu i syn po synie, aż się dostał do rąk moich. Z dwunastu przodków, ośmiu poległo w walce z nieprzyjaciołmi świętej wiary i drogiej ojczyzny, lecz miecz zawsze cudownie powracał do naszej rodziny, która go ceni jak świętą relikwię. Jak wiesz synu i ja marzyłem o wolności naszej ojczy-

zny i w nadziei jej oswobodzenia opasałem biodra moje mieczem odziedziczonym, który w prawicy mojej był postrachem i biczem Moskali; lecz Pan Bóg jeszcze nieprzebłagany za grzechy narodu naszego, kazuje nam dalej cierpieć aż do czasu zamierzonego. Kula nieprzyjacielska strzaskała prawicę moją, i jak kaleka rdzewieję wraz z szablą, którą ci dziś oddaję, abyś ją ożywił nowym blaskiem męstwa i bohaterstwa. Oto przed obrazem Boga-Rodzicy odnów obietnicę uroczystą, że podług przykładu praojców bronić będziesz uciśnionych i ukrzywdzonych, a przedewszystkiem wolności wiary świętej i ojczyzny naszej. Przysięgnij, że miecz nieskażony plamą hańby, oddasz w ręce rodziny naszej.

Stanisław. (ukleka przed obrazem.) Najświętsza Panno wspomagaj moje dobre przedsięwzięcia i błogosław niegodnemu dziecku twemu, które uroczyście ślubuję, że chętnie krew i życie ofiaruję dla chwały Syna Twego i dla obrony wolności kościoła świętego a po oswobodzeniu Stolicy Apostolskiej uproś mi tej łaski, aby miecz mój poświęcony przyczynił się do zdobycia wolności drogiej naszej ojczyzny.

(Ojciec, matka i ks. Józef, kładąc ręce na głowę klęczącego błogosławiąc mu.) Amen.

SCENA II.

W ubogiéj chatce wiejskiéj.

(Przy stole wdowa Marysia Lipa skończywszy modlitwę, zawiera książkę, i spojrzawszy do okna usiada na krześle.)

Marysia. Cóż tak długo bawią dzieci w zamku? — słońce zaszło, krówka i prosiak czekają pokarmu, i kiedyż sobie dzieci zgotują wieczerzę? — Boże! przywróć mi dawne zdrowie i oddal chorobę, którąś mnie nawiedził, abym jak dawniéj pracować mogła. — Zdawało mi się czasami, że praca jest karą Bożą, lecz teraz poznaję, że największym skarbem człowieka jest zdrowie, a że największą nagrodą osładzającą życie doczesne, jest praca. Jużto ósmy tydzień żyję bez pracy i włóczę się z łoża na ławę, a z ławy znów do łoża i nic nie pomagam dziatkom w gospodarstwie; lecz cóż narzekać? — wszakże Ojciec niebieski wie najlepiéj o krzyżu moim, bo:

Bóg zasmuci i pocieszy,
Bo jest Panem wszelkich rzeczy,
Także i moim.

Twoja wola niech się dzieje Panie; pokornie przyjmuję nawiedzenie Twoje, a boleści ofiaruję jako pokutę za grzechy moje i jako ofiarę za duszę zmarłego męża, który w kwiecie życia nagle poszedł do grobu.

(Z radością wbiegają do izby Antoni 18letni syn, Franciszka 16letnia córka wdowy.)

Franciszka. Mateczko złota! jak śliczny pieniądz dostałam od Wielmożnéj Pani! Wielkie mnie

spotkało szczęście, całą drogę liczyłam, że za przędzę dostanę 18 sgr., lecz Wielmożna Pani zobaczywszy przędziwo, rzekła łaskawie: „Moja Franciszko, ponieważ twoją robotę starannie i w krótkim czasie ukończyłaś, więc otrzymasz więcej jak ci obiecałam, oto masz nowiuteńki talar.

Matka. Strzeż się córko, aby pochwała Wielmożnej Pani nie wzbudziła w tobie pychy; dziękuj Najśw. Pannie, że ci łaskę u ludzi zjednała, a pomódl się za wspaniałomyślną dobrodziejkę.

Franciszka. Tego nigdy nie zapomnę!

Antoś. Siostrzyczko, przypuść mnie też, abym i ja mógł mateczce opowiedzieć moje szczęście. Oto ja dostałem aż dwa, a także nowiuteńkie talary, a żebyśmy wszyscy równo bogaci byli, jeden zostawię sobie, a drugi ofiaruję mateczce.

Franciszka. Ja mój też oddaję mateczce.

Antoś. To ja ofiaruję oba talary.

Franciszka. (*smutno*) Żebym miała dwa talary, tobym też dała dwa, ale tak!

Matka. Cieszy mnie dziateczki wasza szczodrobliwość, lecz wszystkiego nie przyjmę; żebyśmy wszyscy byli równo bogatemi, niech każdy schowa sobie jeden talar.

Antoś. Moja matusiu, wiesz za co dostałem dwa talary? —

Matka. Ciekawa jestem!

Antoś. Panicz stracił wczoraj swoją sakiewkę z pieniędzmi i bardzo się martwił, gdy po całodziennem szukaniu, nikt sakiewki nie znalazł. Idąc dziś popołudniu do mojej

roboty, ujrzałem pod liściem kasztanowém coś błyszczącego, a usunąwszy listeczek, poznałem zieloną sakiewkę panicza. Gdy mu ją oddałem, rzekł do mnie: „Więcéj jak znalezione pieniądze, cieszy mnie doświadczenie, że Antosiu rzetelnym jesteś chłopakiem: w nagrodę odbierz dwa talary.

Matka. I przyjąłeś taką nagrodę? —

Antoś. Odpowiedziałem, że to jest powinnością moją, oddać rzecz do mnie nie należącą, lecz panicz rzekł: „Kiedy nie przyjmujesz nagrody, to przyjmij dwa nowiuteńkie talary, jako pamiątkę od przyjaciela!“ Nie mogłem się wymówić, i powiedz mateczko, czy źle zrobiłem? —

Matka. Byłoby niegrzecznością, gdybyś nie był przyjął, lecz podziwiać należy delikatność panicza, który nawet ubogiego wyrobnika uczucie uwzględnia. — Niezapominajcie dziatki dziękować Ojcu niebieskiemu, którego Opatrzności codzienne mamy dowody.

(Wstępuje do izby nauczyciel pan Joniec.)

Joniec. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wszyscy. Na wieki Amen

(Antoś i Franciszka ściskają jemu kolana, nauczyciel pogłaskawszy oboje, podaje dłoń Marysi.)

Joniec. Posełaliscie w Niedzielę Antosia po mnie, lecz natłok pracy nie pozwolił mi, prędzéj spełnić wasze życzenia; w czemże wam służyć? —

Matka. Serdeczne dzięki za łaskę, że pan się fatygował do mnie; gdyby nie moja choroba,

byłabym sama przyszła do pana prosić o radę i ratunek w nędzy. Wiadomo panu, że mój nieboszczyk mąż, „Boże daj mu lekki odpoczynek!“ kupił od Dołęgi wraz z tą chałupką, w której mieszkamy, 18 jutrzeń roli.

Joniec. Wiem o tem, bo pisałem kontrakt kupny i przypomina mi się, że Dołęga zrobił następujący warunek: że wasz nieboszczyk mąż dopiero wtenczas miał odebrać rolę i chałupkę, jak złoży kupne pieniądze. Na zadatek dał 50 tal., a resztę 450 tal. obiecał przed Nowym Rokiem zapłacić.

Matka. W Wilią zebrał mój mąż 450 tal. i zaniósł Dołędze, a powróciwszy od niego, pokazał mi kwitek, który schował za belkę pod sufitem. W drugie święto zachorował mąż, a przed nowym rokiem zanieśliśmy go do grobu. Żyłam sobie z dziećmi przez dwa lata w pokoju, i gospodarzyliśmy podług możności, aż tu przeszłej Soboty przychodzi do nas Dołęga i oznajmuje mi, że mnie wypędzi z chaty, jeżeli nie zapłacę 450 talarów.

Joniec. I czegóż się lękacie, kiedy kwitek posiadacie? —

Matka. Właśnie to naszém nieszczęściem, że się kwitek stracił dziwnym sposobem, i że go znaleźć nie możemy, chociażeśmy przez cały tydzień szukali i wszystkie sprzęty kilka razy przetrząśli.

Joniec. Dziwne to zdarzenie! Kwitek się stracił, a Dołęga żąda powtórnie pieniędzy; zkądże dowiedział się Dołęga, że kwitka nie macie?

Matka. Opiekun moich dzieci otrzymał rozkaz,

aby do sądu oddać kwitek, a gdyśmy go znaleźć nie mogli, poszedł do Dołęgi z prośbą, aby kwitek powtórnie napisał.

Joniec. A Dołęga? —

Matka. Zaparł się, że pieniądze odebrał.

Joniec. Nie można mi przypuścić, żeby Dołęga był tak niepoczciwym człowiekiem, okraść wdowę i sieroty. — Cóż tu robić? — *(po krótkiem namyśleniu)* Wiem co uczynię, pójdę do księdza Proboszcza z prośbą, aby Dołęgę kazał zawołać do siebie i zajrzał mu do sumienia. Tymczasem proście Pana Boga, aby was trzymał w swej opiece, pocieszając się obietnicą Pańską: *„Wołać będzie do mnie, a ja wysłucham go; wyrwie go z ucisku i uwielbię go.“*

Matka. Gdyby mnie nie pocieszała mocna wiara w Opatrzność Bożą, zwątpiłabym w mém przykrém położeniu. Rozważ sobie Pan, przez dwadzieścia lat pracowaliśmy we dnie i w nocy z nieboszczykiem mężem, aby choć skromny mająteczek uciułać i dzieciom zostawić pamiątkę po rodzicach, a teraz cała nasza nadzieja ma się obrócić w wodę? — Gdybym zdrową była, łatwiejbym się uspokoiła, bo bym za pomocą Boga zarobiła codzienny chleb, lecz nawiedzona chorobą, jakże zdołam wyżywić przyzwoicie dziatki ubogie?

Antoś. Nie frasuj się o nas, droga mateczko, będę pracował we dnie i w nocy, aby ci na niczém nie zbywało.

Franciszka. A czyliż i mnie Pan Bóg nie wyposażył zdrowemi członkami? —

Matka. Dzieci moje, przykro to dla serca macierzyńskiego, kiedy zamiast wygodniejszego życia, któresmy wam przez oszczedność zapewnić chcieli, widzę was wydane na zarobkowanie po obcych dworach, gdzie mnóstwo niebezpieczeństw otacza niedoświadczone serca wasze.

Antoś. A czyliż nam nie dałaś mateczko święte medaliki z Częstochowy, które zawsze z sobą nosimy? — Ile razy spojrzę na mój medalik, poczuwam w sobie mocniejszą siłę do dobrego, i największy wstręt do złego.

Joniec. Pocieszaj się matko nadzieją, że Antoś i Franciszka dobremi zostają dziećmi. Już w szkole były zawsze grzecznemi i pilnemi, ufam w Bogu że zawsze podług przykazań, Bożych sprawować się będą

Antoś i Franciszka (całując ręce nauczycielowi.) Nasz dobry ojcze! —

Matka. Nic nie pragnę. jak tylko tego, aby dzieci moje żyły podług woli Bożej, resztę Pan Bóg sprawi jak najlepiej.

Joniec. Słusznie się modlicie, a pewnie jeszcze Franciszka nie zapomniała nauki, o co się przedewszystkiem starać powinnismy? —

Franciszka. „Starajcie się przedewszystkiem o królestwo Boże i o sprawiedliwość jego, a wszystko inne przydane wam będzie.“

SCENA III.

Na zamku pana Dębskiego.

Ks. Józef, pan Dębski i pani Dębska

Ks. Józef. *(Kładąc pełny kapelusz na stół.)* Oto ofiara przedroga przed obliczem Pańskiem. Dobry nasz ludek, ledwie przemówiłem dopołudnia do niego o nędzy i ucisku Ojca św., oto po nieszporze zastępuje mi drogę, i hojne składa w moje ręce ofiary. Niewiedząc, gdzie ofiarę schować, nadstawiłem kapelusza i oto zgoła pełny. *(Poglądając w niebo.)* Ojcze Niebieski dziękuję ci za to szczęście, żeś mi powierzył tak dobrą parafią, która chętnie słucha głosu pasterza i z całem przywiązaniem lgnie do kościoła i do Namiestnika Twego. *(Obracając się do państwa:)* Moje państwo, pójdźcie i podziwiajcie grosz ubogiej wdowy, bo nic kosztowniejszego nie znajdziecie w świecie, jak ofiarę wdzięczności i miłości.

Pan Dębski. Źleby było, gdyby lud dziedzica zawstydził, oto przyjmij księże Dobrodzieju moją ofiarę *(składa na kapelusz paczkę pieniedzy w papierach.)*

Ks. Józef. Tysiąc złotych! jakże ci dziękować szlachetny panie?

Pan Dębski. Chciałem sobie kupić parę koni, lecz zdaje mi się, że stare siwki jeszcze dostarczą na roczek, i musiałbym się wstydzić, ile razybym sobie przypomniał, że Ojciec święty nędzę cierpi, podczas gdy mnie niegodnego syna jego, pyszne wożą konie.

Pani Dębska. Szczodrobliwość męża darowała mi 200 złotych na futro, mąż przebaczy, jeżeli dar jego przyłożę do ofiary wdowiej, a tymczasem kontentuję się moim płaszczem.

Ks. Józef. Wasza jałmużna, szlachetne państwo, jest koroną całéj ofiary, bo oprócz hojnéj jałmużny, ofiarujecie razem waszego serca najdroższy klejnot, bo syna jedynego. Niech błogosławieństwo Boże nagrodzi wam sowicie, a Najświętsza Panna uprosi wam szczęścia i pomyślności. — Lecz teraz policzmy ofiarę. *(Bierze garść pieniędzy i kładzie na stół.)*

Pan Dębski. Zkąd dostały się do ofiary nowiutkie talary? Jak mi bankier pisał, były talary, które mi posłał, przed dwiema dniami bite i prosto z mennicy dostały się do niego, a od niego do mnie. Czy mnie okradziono?

Pani Dębska. Jeden talar, a to oto ten *(pokazuje na talar)* pochodzi odemnie; przypomnij sobie, żeś mi na potrzebne wydatki wyliczył 20 talarów. Lecz choć talar odemnie pochodzi, ofiara nienależy do mnie, lecz do ubogiéj dziewczyny, któréj go wypłaciłam od przędzenia lnu.

Pan Dębski. A zkądże pochodzi drugi nowiutki talar? —

Pani Dębska. Tego nie odgadnę.

Ks. Józef. Znasz pani dziewczynę?

Pani Dębska. Jestto sierota, Franciszka córka ubogiej wdowy, która choruje i którą żywią poczciwe dzieci, Franciszka i jéj brat Antoś Lipa.

Ks. Józef. Niepodobnem mi uwierzyć, że nowe

talary pochodzą od ubogiej rodziny, którą niegodziwy człowiek okradł o całą majętność i która nieposiada ani szelążka dla zaspokojenia codziennych potrzeb.

Stanisław. (*Wchodząc do sali.*) Zapomniałem pani mamie oznajmić, że moja sakiewka zgubiona znalazła się, a co mnie bardzo cieszy, to jest poczciwość ubogiego chłopaka, który ją znalazł i oddał.

Pan Dębski. A w nagrodę dałeś mu nowiutki talar.

Stanisław. Niechciał przyjąć, lecz po długich naleganiach dał się namówić.

Ks. Józef. I któż to tak poczciwym chłopakiem?

Stanisław. Antoni Lipa.

Pan Dębski. Poślij po Antoniego, synu mój.

Stanisław. (*Odchodząc.*) Zaraz poślę po niego.

Pani Dębska. (*Woła za nim.*) A jeżeliby go w domu nie było, niechaj przyjdzie Franciszka.

Pan Dębski. Wierz mi księże Dobrodzieju, że mnie rozczula poczciwość naszego ludu. Już powtórnie zbliżał się do mnie kusiciel i podawał mi wysokie ceny, abym mu odprzedał moją wioskę. Lecz chociażby mi wyliczył i cały milion talarów, niesprzedałbym wioski, bo jakże się pożegnać z poczciwemi mieszkańcami.

Ks. Józef. Nasz ludek, chociaż piaszczysta ziemia nie zbogaca go, posiada jednak skarb nieoceniony, który go majętniejszym czyni nad milionarzy zamożnych miast, jestto niezachwiana mocna wiara w Pana Boga i przywiązanie do kościoła świętego. Mam mocne przekonanie, że każdy z naszych prawdziwie dobrych ludzi,

nie znających świata i często wzgardzonych od Niemców, gotów jest krew swoję przelać za wiarę swoję świętą tak, jak przodkowie łożyli życie w obronie wiary i ojczyzny.

Pani Dębska. A jak skromne prowadzą życie tutejsi wieśniacy! spokojnie upływa ich żywot, Prace i zabiegi około gospodarstwa sa dla nich rozrywką, w pocie czoła troszczą się o codzienny chleb i o uczciwe wyposażenie potomstwa swego; nareszcie zamykają zmordowane oczy, aby spocząc na cmętarzu, gdzie kości ich dziadów i pradziadów radosnego oczekują zmartwychwstania.

Ks. Józef. Błogo jest być dusz pasterzem tak poczciwego ludu i dla tego porzuciłem korzystne plebanie, które mi już kilka razy ofiarowano.

(Wchodzi Stanisław z Antosiem i Franciszką którzy ściskają kolana ks Józefa i państwa Dębskich.)

Ks. Józef. Powiedz nam Antosiu, jeżeli od ciebie pochodzą nowe talary, któreśmy znaleźli między ofiarą.

Antoś. (*długo milczy zmieszany, potem*) A czyliż to świat ma wiedzieć ile ofiarowałem? —

Ks. Józef. Cieszy mnie twoja pokora, lecz chodzi tu o ważną rzecz, bo się Wielmożny Pan obawia, czy go nieokradziono.

Antoś. (*podnosi oczy ku Stanisławowi*).

Stanisław. Czy mnie posądzasz? —

Ks. Józef. Powiedz szczerą prawdę.

Antoś. (*milczy*).

Franciszka. Nie pojmuję dla czego Antos milczy?

Oto z pozwoleniem Wielmożnego Państwa opowiem wszystko. Gdyśmy, powróciwszy z kościoła, opowiadali maleczce, która dla choroby kościoła odwiedzić nie może, cośmy na kazaniu słyszeli, zasmuciła się maleczka, żeśmy ubodzy — aż się jéj przypomniało, że posiada nowutki talar, który jéj Antoś darował. Rozkazała, abyśmy po nieszporze jéj talar ofiarowali dla Ojca świętego.

Pan Dębski. Lecz tu są trzy nowe talary!

Franciszka. (*nieśmiało z cicha*) Jeden nowy talar ofiarował Antoś z własnéj przemogi.

Antoś. A jeden ofiarowała Franciszka.

Pani Dębska. I wieleż macie jeszcze w domu pieniędzy? —

Franciszka. Przebaczy Wielmożna Pani, myśmy ubodzy i nie posiadamy w domu ani szelążka.

Pan Dębski. I zkądże wzięliście trzy nowutkie talary, kiedy wam moja pani tylko jeden, a mój Stanisław także tylko jeden wypłacił? —

Stanisław. Przebacz panie Ojcze, darowałem Antosiowi dwa talary.

Pani Dębska. A więc całe wasze bogactwo złożyliście na ofiarę? —

Antoni. O gdybyśmy byli bogatemi!

(*Stanisław przyciska Antosia do siebie, a pani Dębska Franciszkę.*)

Pani Dębska. O żebym posiadała taką córkę!

Stanisław. O żebyś był towarzyszem moim, lecz ponieważ zemną nie pójdziesz do Rzymu, więc zachowaj mi przynajmniéj braterską miłość.

Antoni. O jak byłbym szczęśliwym, gdyby mnie panicz wziął z sobą!

Stanisław. (*radośnie podając mu dłoń*) Moim ty chcesz być towarzyszem? — czyliż lepszego życzyć sobie mogę? —

Antoś. (*smutnie*) Nie mogę, drogi paniczu, bo mateczka choruje.

Stanisław. Poślę po lekarza, może wkrótce wyzdrowieje twoja mateczka.

Antoś. Któżby ją żywił, jakbym odszedł!

Pan Dębski. Jeżeli nie chodzi o więcéj, to bądź spokojny mój Antosiu, postaram się o lekarza i także zaopatrzę matkę twoją w żywność i co jéj potrzeba będzie.

Antoś i Franciszka (*ściskają kolana p. Dębskiego*) Niech Pan Bóg błogosławi Wielmożnemu Panu!

Franciszka. Najświetsza Panna niech nagrodzi!

Ks. Józef. A jakże, otrzymasz od mateczki pozwolenie?

Antoś. O już często mówiliśmy o tém z mateczką, każdym razem odpowiadała: „Wielkiećby to szczęście było dla mnie, gdybym syna mojego ofiarować mogła dla obrony Ojca świętego!“

Pani Dębska. I cóż ty na to Franciszko? —

Franciszka. (*na pół z płaczem*) Ciężko mi przyjdzie pożegnać się z dobrym braciszkiem, którego serdecznie kocham, lecz pocieszałaby mnie myśl, że się poświęca dla obrony wiary świętéj i że go Najświętsza Panna od wszystkiego zachowa nieszczęścia.

Stanisław. Wiwat! zyskałem nowego żuawa dla armii papiezkiéj, wiwat Ojcu św. Piusowi IX.!

Wszyscy. Wiwat! (*ks. Józef podnosi ręce ku niebu.*)

Trzy dni póżniej.

Pan Dębski siedzi za stołem, dłonią podpierając głowę, Pani Dębska oparta na jego ramieniu. Wchodzą do sali Stanisław i Antoś, uzbrojeni do wyprawy. *Stanisław śpiewa:*

Rży koniczek mój bułany,
Puśćcie mnie, już czas,
Matko! Ojcze mój kochany
Żegnam, żegnam was.

Cóżby życie warte było,
Gdybym gnuśnie zgasł.
Dosyć, dosyć się marzyło,
Teraz już nie czas.
Słyszę z Rzymu grzmot armaty
Rozpoczął się bój
Żegnam drzewa, łąki, chaty,
Ruszaj koniu mój

Hej łuzaku konia podaj,
No nie płaczcie już.
Lepiej Matko męztwa dodaj,
Krzyżyk na mnie włóż.

Słyszeliście trąb hałasy,
Dobosz w bęben grzmi,
Rzucam, rzucam słodkie czasy,
Błogosławcie mi.

(*Stanisław i Antoś upadają na kolana swoje i odbierają błogosławieństwo, po krótkim uścisku wyrywa się Stanisław z ramion ojca. Matka podnosi ręce do obrazu Najśw. Panny; ojciec bieży do okna, a spoglądając za synem, łzy ociera.*

(Zasłona spada).

SCENA IV.

Rok później.

W chacie ubogiéj wdowy.

(*Marysia śpi w krześle. Franciszka zbliża się na palcach, a przekonawszy się, że dobrze spi, mówi do siebie.*)

Franciszka. Dzięki Bogu, spi sobie smacznie kochana mateczka, ja tymczasem wybiegnę do Dołęgi i przyniosę od niego pieniędzy, aby mateczka biedy nie cierpiała. (*Dobywa korale oglądając je.*) O co to za piękny blask! i jak ładnie się nosza! — Jeszcze raz ucieszę się z wami! (*kładzie na szyje i przegląda sie w maleńkim źwierciadełku, potem smutno.*) O jak to ciężko na sercu, powierzać obcéj ręce pamiatkę droga, którą matka darowała w dzień pierwszej św. Komunii. Uboga mateczka niewie o tém, że korale, które nosiła babka i prababka, niosę w zastawe, aby uprosić bogacza, żeby nam pożyczył kilka talarów dla odpedzenia głodu. Wiem że Dołęga czycha na moje korale, bo kiedy go spotkałam zeszłego tygodnia, rzekł do mnie: Nie potrzebujesz biedy cierpieć Franciszko, przynieś mi twoje korale i dam ci kilka talarów. Długo się wahałam, spodziewając się, że Wielmożne Państwo powróci i że się skończy nasza nędza, lecz teraz muszę — niemasz soli, ani chleba, ani jajka, ani mąki, czemże mateczkę posilić? — (*Zastanawia się.*) Lecz jakby Dołęga nie chciał mi pożyczyć i żądał, abym mu sprzedała korale?

O to uklęknę (*uklęka*) przed nim i prosić będę: „Zmiłujcie się nad chorą matką moją i pomóżcie nam, a Matka Najświętsza wam nagrodzi.“ (*wstaje*) Niemożna, żeby mi odmówił pożyczki! — (*Zbliża się do matki, całuje jej rękę i wychodzi po cichutku z izby.*)

Marysia. (*Ocuca się i oglądając się po izdebce.*) Toż to był tylko sen? — O jak miły sen. Widziałam przed sobą Antosia, który powróciwszy z wojny, przyniósł mi od Ojca św. kontrakt kupny wraz z kwitkiem straconym. Byłam niewypowiedzianie szczęśliwą, lecz ocuciwszy się, znikło szczęście, a około mnie nędza i rozpacz. — Wszystko mnie opuszcza, Antoś, podpora moja, w dalekim świecie — już czwarty miesiąc, jak Wielmożne Państwo wyjechało do Rzymu, aby pielęgnować panicza, który w obronie Ojca św. ciężką odniósł ranę, ksiądz Dobrodziej od kilku tygodni, równie jak ja, chorobą złożony. — Znikąd pociechy! — znikąd ratunku! — Sprzedałam odświętne szaty moje, — odzież Antosia, a teraz co poczniemy? — Franciszka głodem trapiona, choć to przedemną ukrywa — upada na siłach od dnia do dnia coraz więcej. Boże w miłosierdziu nieprzebrany, skróć moje utrapienia. Prosiłabym Cię o śmierć i miłoby mi było, odpoczywać w chłodnym grobie obok mojego męża, lecz ciężko sercu macierzyńskiemu, zostawić wśród zepsutego świata sierotę bez opiekuna i bez sposobu utrzymania się.

Franciszka. (*powracając, rzuca się z płaczem do nóg matki.*)

Marysia. I cóż ci to moje dziecię? —

Franciszka. Przebacz mateczko, że bez zezwolenia twego wyniosłam z domu korale.

Marysia. Uspokój się, wiem z jakiej to uczyniłaś przyczyny.

Franciszka. Już nie mogłam znieść widoku twéj niedoli, i aby zakupić żywności i posiłku dla ciebie, chciałam pożyczyć kilka talarów, a korale dać w zastawę, lecz Dołęga wziął mi korale i powiedział (*płacze łkając*) o mój Boże! (*kryje twarz w łonie matki*)

Marysia. Franciszko uspokój się, a oznajmij mi, co ci Dołęga powiedział? —

Franciszka. Nie żądaj tego po mnie, abym życiu twemu najboleśniejszy zadała cios, — lecz cóż pomoże? — muszę ci oznajmić; lepiéj że się odemnie dowiesz, jak od ludzi niemiłosiernych.

Marysia. Matko Najświętsza i cóż usłyszę? —

Franciszka. Gdy Dołęgi prosiłam, aby mi na korale pożyczył przynajmniéj dwa talary, wyrwał mi korale z ręki i rzekł groźno: „Korale potrzymam, aż mi zapłacicie zaległy dług od komory; idź, oznajmij matce, że jeszcze dziś przyjdzie sługa sądowy i wyrzuci was z mojéj chałupy!“ — Upadłam mu do nóg i prosiłam go na miłość Boską, aby miał litość, chociaż już nie nademną, to przynajmniéj nad chorującą Mateczką, lecz — wszystko to było daremne! (*załamuje ręce*) I cóż teraz poczniemy, kiedy nas cały świat opuszcza? —

Marysia. Chociaż nas świat opuścił, to przecież Bóg nas nie opuszcza. (*składa ręce do modlitwy*) Ojciec niebieski, który żywi młode kruczęta i robaczka mizernego, i o nas ma staranie; a jako wybawił wdowę w Sarepcie, tak i nam czasu swego okaże łaskę swoją. Ufajmy w Opatrzności Bożéj.

Franciszka. (*słabym głosem*) Mateczko głodem umrzemy; w głowie mojéj tak pusto, w sercu mdło; głód tak ciężko dokucza, (*opiera głowę o łono matki*)

Marysia. Dziécię pamiętaj się, idz do szafy posil się. —

Franciszka. (*słabym głosem*) Tam próżno od dwóch dni! —

Marysia. Boże któryś utrapionéj Agarze wskazał źródło dla umierającego Izmaela, poślij i mnie Anioła dla ratunku dziecka mojego.

(*Dołęga i sługa sądowy wchodzą do izby.*)

Sługa sądowy. Dobry dzień! —

Marysia. Daj Boże i panu.

Sługa sądowy. Mam edykt sądowy rozkazujący wam, abyście się wynosili z domu Nr. 15, który jest własnością Bernarda Dołęgi.

Marysia. Litości Panie Dołęgo! zmiłujcie się nad nami i pozwólcie nam umrzeć w tym domku, z którego wyniesiono zmarłego męża na cmętarz.

Dołęga. Tak długo czekać nie będę.

Marysia. Nie potrzebujecie długo czekać, bo oto dziécię umiera z głodu, a ja także wraz z niem pójdę do grobu.

Dołęga. Daremne wykręty.

Sługa sądowy. Miéjcie litość gospodarzu i zetrwajcie jeszcze, aż ozdrowieją.

Dołęga. Czyń pan powinność twoją.

Sługa sądowy. Mam rozkaz wypełnić w upływie dni 14, więc, kiedy wy nie macie miłosierdzia, wolno mnie, dać wdowie delacyą. Moja uboga niewiasto, ufajcie w Bogu, i proście Go, aby wam dobrzy ludzie przyszli w pomoc i przyjęli was do siebie; za dni 12 zaś zajrzę do was. Lecz słyszałem od was, że cierpicie głód.

Marysia. Spojrzyjcie na dziécię wybladłe, które sobie ujmuje pokarmu, aby matka nie cierpiała głodu.

Sługa sądowy. Nie jestem bogaty, bo z szczupłéj pensyi żywię żonę i troje dziatek, lecz ile mogę, wspomagam was; (*Dobywa z kieszeni kawał chleba, także pieniądze i kładzie na stół.)*

Marysia. Niechaj panu zapłaci Pan Bóg i niechaj Matka Najświętsza....

Sługa sądowy. (*przerywa dalsze dzięki*) Dajcie spokój, bo co dałem, niewarto tyle słów. Pozwólcie że u was spocznę chwilkę i opowiedzcie mi, co waszéj niedoli przyczyną. A ty dziewczyno zgotuj garnuszek wody na wodziankę, abyśmy się zagrzali i posilili.

Dołęga. (*ściskając od złości pięść wychodzi*)

Franciszka. (*powstaje z ziemi*) Dobry Panie przyniosę drwa, złożę ogień a potem pobiegnę po sól i po masło. Niech Pan Bóg błogosławi pańskim dziatkom za to, zeście przynieśli posiłek dla drogiej mateczki.

Sługa sądowy. A na drogę weźmij sobie kawałek chleba. (*bierze nóż i kraje chleb*)

Franciszka. Nie mam tak gwałtownego głodu. (*wybiega z izby*)

Marysia. Chcesz Panie wiedzieć o naszém nieszczęściu? — Oto Dołęga wydziera nam chatkę i rolę, chociaż mu ją nieboszczyk zapłacił.

Sługa sądowy. Dołęga złożył przysięgę, że nie odebrał kupnych pieniędzy.

Marysia. Niech mu Pan Bóg przebaczy krzywoprzysięztwo. Mieliśmy kwitek, lecz stracił się i niemożemy dowieść prawdy.

Franciszka. (*wbiega do izby przelękniona*) Mameczko, do naszéj chatki zbliża się kareta i dwaj jeźdzcy panowie na pysznych koniach.

(*Do izby wdowy Marysi wchodzi pan Dębski i żona jego.*)

Pani Dębska. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Marysia. Aż na wieki. (*wyciągając ręce do niéj.*) Dzięki Panu Bogu, który mi posyła anioła w najprzykrzejszéj życia mego chwili! Witam serdecznie!...

Pani Dębska. Uspokój się poczciwa wdowo, skończyła się twoja niedola, a odtąd szczęście i radość będą nagrodą twoją.

Marysia. Wielmożne państwo powraca z Rzymu, jakże się powodzi Antosiowi i paniczowi?

Pan Dębski. Walczyli jak staropolscy rycerze i okryli się sławą nieśmiertelną.

Marysia. Więc położyli życie za Ojca świętego?

Pan Dębski. Pan Bóg ich ocalił i żyją obaj, chociaż ciężkie odniosli rany!

Marysia. O Najświętsza Panno! jakże Ci dziękować za Twoją opiekę.

Pani Dębska. Przynoszę wam serdeczne pozdrowienie od Antosia i Stanisława i może że was odwiedzą.

Franciszka. Mnie się zdaje, że są niedaleko.

Marysia. Gdzie? o szczęśliwa godzino, w której zobaczę syna najdroższego.

Pan Dębski. (*woła*) Wchodźcie chłopcy!

Antoś. (*wchodząc rzuca się do nóg matki*) Moja najdroższa, moja najlepsza mateczko!

Marysia. Moje najdroższe dziecię. (*przyciska go do łona swego*)

Franciszka. Braciszku mój jedyny!

Antoś. (*powstawszy, podaje obie ręce Franciszce.*) Poczciwa siostrzyczko, odtąd będę ja dla was pracował, a ty sobie odpoczniesz!

Marysia. (*spostrzegłszy Stanisława*) Przebacz Wielmożny Paniczu, że dopiero teraz witam walecznego rycerza Ojca świętego.

Stanisław. Bóg zapłać matko najlepszego przyjaciela mego!

Antoś. (*Pokazując na Stanisława*) Oto matko widzisz jednego z najwaleczniejszych bohaterów, którego Ojciec święty osobiście odwiedził w lazarecie, kiedy w skutek ran poniesionych leżał na łożu boleści.

Stanisław. I czyliż i ciebie niezaszczycił? —

Franciszka. Widzieliście Ojca świętego?

Stanisław. Widzielismy go i rozmawialismy z nim; lecz muszę wam wszystko opowiedziec. Gdy

bezbożne bandy Garybaldego zdradziecko napadły na Rzym, posłał jenerał nasz batalion żuawów do Riczeto, abyśmy bronili mostu św. Jana; nigdy niezapomnę tej chwili! — Garybaldczycy w czerwonych jak krew koszulach, podobni do katów, rzucili się z rykiem dzikich zwierząt na nasz batalion i obsypując nas gradem kul, attakowali nas. Bez bojaźni i mocno ufając w pomoc Bożą, odparliśmy napastników raz i drugi, aż nasz waleczny kapitan zawołał: „Dzieci! ukarzmy zuchwalców! — Niech żyje Pius IX.!“ — Zagrzmiał wiwat, a my dalej na czerwonych rabusiów. Ledwieśmy się starli z wrogiem, położyła kula naszego kapitana, a ponieważ większa częśc naszych oficerów była rannych, więc zostaliśmy bez komendy.

Antoś. W tej chwili dosiadł nasz panicz konia poległego kapitana i zawoławszy: „Bracia za wiarę świętą! Jezus Marya!“ rzucił sie na roty Garybaldczyków, my za nim i zwycięstwo było nasze!

Stanisław. Antoś milczy o swoich zasługach. Wśród walki ubito podemną konia, obskoczyli mnie w koło Garybaldczycy, a jeden z nich wymierzył do mnie i byłby mnie niezawodnie trupem położył, gdyby w tym momencie nie był Antoś przyskoczył i pałaszem mu głowy rozpłatał; Antosiowi więc zawdzięczam życie

Antoś. Jenerał w jeneralnem raporcie nietylko wysławił bohaterstwo, lecz także Ojcu świętemu polecił pana Stanisława, mianując go kapitanem. A dowiedziawszy się, że mój panicz

ciężko raniony leży w lazarecie, odwiedził nasz lazaret osobiście.

Stanisław. O co to za radość była dla nas! zapomnieliśmy o naszych ranach, a każdy wołał z uniesieniem: „Niech żyje Ojciec święty!“ „Niech żyje Papież i Król!“ Jak ojciec najtroskliwszy postępował Ojciec św. od łoża do łoża, rozmawiając z choremi, pocieszając ich i udzielając św. błogosławieństwa.

Antoś. Przyszedłszy do łoża pana Stanisława i przeczytawszy na tablicy nad łożem powieszonéj imię „Stanisław Dębski“ zawołał Pius IX.: „Bóg z tobą bohaterze mostu św. Jana!“ Widząc, że panicz chciał się podnieść, przystąpił bliżéj i własnoręcznie posunął mu poduszkę pod głowę, a na piersi przypiął mu order, który odtąd zdobi panicza. Rozkazał także lekarzom, aby i najdroższych leków nie szczędzili i jak najrychléj wyleczyli pana kapitana. A gdy na zapytanie: „Czego sobie jeszcze życzy?“ — pan Stanisław prosił o błogosławieństwo dla rodziców i dla nieszczęśliwéj Polski, rzekł Ojciec święty: „O żeby każdy naród podobnie jak Polacy kochali wiarę świętą i ojczyznę, byłby świat szczęśliwszym.“ Potem błogosławił paniczowi, jego rodzinie i całéj Polsce.

Ks. Józef. (*Wstąpiwszy do izby, przysłuchuje milcząc niespostrzeżony od nikogo.*)

Stanisław. Przystąpiwszy do łoża Antosia obok mnie leżącego, rzekł Ojciec święty: „A, to pewnie ziomek pana kapitana, który z narażeniem własnego życia ocalił swego przeło-

żonego. Cieszy mnie poznać dwóch Polaków, którzy się godnymi pokazują być sławy narodu, który niezmierne zasługi położył w obronie wiary świętéj. Mam mocną wiarę, że waszą ojczyznę pomyślniejsza czeka przyszłość. „A czegóż ty sobie życzysz?“ — zapytał się łagodnie Ojciec święty. — „Najświętszy Ojcze!“ — odpowiada Antoś, — „błogosławiłeś ojczyźnie mojéj, za co najserdeczniéj dziękuję, lecz zostawiłem w domu ubogą chorującą matkę. jeżeli łaska, proszę o błogosławieństwo dla niéj.“ — Ojciec św. odpowiedział na to drżącym głosem: „Będzie ci się dobrze powodziło i długo będziesz żył na świecie. ponieważ szanujesz Matkę twoją!“ A ozdobiwszy pierś Antosia orderem, podał mu medalik, mówiąc: „Oto oddaję ci medalik dla matki twojéj. któréj błogosławię z głębi serca mojego!“

Marysia. I przyniosłeś mi medalik od samego Ojca świętego? —

Antoś. (*dobywszy z pudełka małego medalik, podnosi go w górę, lecz tenże upada mu za szafę, obok ściany stojącéj.*)

Marysia. Antosiu, bądźże baczniejszy z tak świętą relikwią!

Antoś. Niechcący upuściłem go. (*odsuwa szafę, przyczém mu egzekutor pomaga. Egzekutor podnosi paczkę papierów, Antoś medalik, który podaje matce.*) Oto pamiątka od Ojca św.

Marysia. (*całuje nabożnie medalik i żegna się nim*) Większéj radości i droższego skarbu nie mogłeś przynieść, mój Antosiu. (*podaje*

pani Dębskiéj medalik, który idzie z rą rąk.)

Sługa sądowy. (który dotąd przeglądał papiery.) Widocznie sprawdza się nad wami błogosławieństwo Ojca świętego; niebyło to przypadkiem, że medalik upadł za szafę, lecz palcem Opatrzności Boskiéj, — oto — za szafą znalazłem kontrakt kupny i kwitek Dołęgi.

Wszyscy. Błogosławieństwo Ojca św.!

Marysia. O jakże dziękować Bogu za dobrodziejstwo, które nam przez błogosławieństwo Piusa IX. wyświadczył.

Ks. Józef. Wielbij duszo moja Pana!

Wszyscy. (oglądają się i witają ks. Józefa.)

Ks Józef. Usłyszawszy wesołą nowinę, że nasi żuawi powrócili z Rzymu, opuściłem moje łoże boleści i spieszę do was, aby powitac bohaterów, którzy jako męczennicy święci, krew i zdrowie ofiarowali za świętą wiarę. O niechajże błogosławieństwo Boże, które wam Ojciec św. udzielił, towarzyszy przez całe życie, a wasze zasługi zaprowadzą was po śmierci do wiecznéj szczęśliwości. Pokażcie mi wasze ordery.

Stanisław. (zdejmuje swój i podaje ks. Józefowi.)

Ks. Józef. O mój Ojcze św. *(całuje order)* Jakże ci dziękować za twoje błogosławieństwo, któreś udzielił ojczyźnie naszéj i dwom synom jéj, których z zaszczytem mianuję owieczkami trzody mojéj. Widocznie z tobą Pan Bóg, bo przez ciebie pokazał strapionéj wdowie, gdzie spoczywa kontrakt i kwitek, zabezpie-

czający ubogiej rodzinie własność, którą jéj zły człowiek wydzierał. Na cześć twoją wznosimy z głębi serca: Niechaj żyje Ojciec święty Pius IX. wiwat!

Wszyscy. Wiwat!

Pan Debski. I powtórnie:

Wszyscy. Wiwat!

Stanisław i Antoś. Niechaj żyje Pius IX., Papież i Król!

Wszyscy. Wiwat!

(*Podczas wiwatów dziwna łuna okrywa scenę.*)

Marysia. Dla Boga cóż to znaczy?

(*Wszyscy się oglądają.*)

Pan Dębski. (*spoglądając do okna*) To pożar!

Wszyscy. A gdzie?

Pan Dębski. Pali się dwór Dołęgi!

Sługa sądowy. To kara Boża.

Ks. Józef. Boże miłosierdzia! nie karaj grzesznika w Twéj sprawiedliwości!

Pan Dębski. Zapomnijmy o złości Dołęgi, a spieszmy na ratunek. (*wybiegają wszyscy, kurtyna spada.*)

